



Mirosław Derecki

TROPEM LUDZI MAJORA HUBALA:

TRZY SPOTKANIA Z LUBLINEM

Niniejszym odcinkiem kończymy cykl artykułów poświęconych żołnierzom oddziału majora Hubala, oddziału, który walkę z najeźdźcą kontynuował jeszcze przez prawie dziewięć miesięcy od zakończenia kampanii wrześniowej. Równocześnie redakcja zwraca się do czytelników o nadsyłanie opinii na temat zaprezentowanego cyklu, zaś do osób bezpośrednio lub pośrednio związanych z przedstawionymi wydarzeniami - o ewentualne uzupełnienia. (RED)

Ostatnie egzaminy wypadły w połowie 1939 r. Po ich zdaniu Markowi Szymańskiemu i jego kolegom pozostawało już tylko uklęknąć na rozłożonym na dziedzińcu szkoły kobiercu i otrzymać uderzenie szablą w ramię - ostateczne przypieczerowanie pierwszej upragnionej gwiazdki. Uroczysta promocja na podporuczników miała się odbyć w warszawskiej Szkole Podchorążych Saperów 2 września 1939 r. Nie odbyła się. Dzień wcześniej wybuchła wojna.

Podporucznika Szymańskiego zastała ona w 28 batalionie saperów 28 dywizji piechoty w Armii Łódź. Otrzymał tam przydział w końcu sierpnia. Budował ze swym plutonem umocnienia w rejonie Widawki. W nocy z 4 na 5 września przyszedł rozkaz z dowództwa, żeby opuścić nie dokończone roboty i dołączyć do kompanii. Ale kompanii na dawnym miejscu postoju już pluton nie zastał. Na przybyłych czekał natomiast dowódca kompanii, który wydał Szymańskiemu kolejne polecenie: niszczyć linię telefoniczną na drodze z Rogóżna do Łaska, zaś w samym Łasku zdemontować centralę telefoniczną. Mieli jeszcze wysadzić w powietrze pobliski most kolejowy, ale nie dostarczono im na czas materiałów wybuchowych. Wtedy uświadomili sobie, że odwrót nie przebiega w pełnym porządku. Urwała się łączność z kompanią, przestały przychodzić rozkazy. Młody podporucznik po raz pierwszy sam musiał podejmować ważne decyzje, kierować losem powierzonych mu kilkudziesięciu ludzi. Z wielu zadań bojowych, które obiecywał sobie wykonać podczas tej wojny, pozostało mu już właściwie tylko jedno: dołączyć do macierzystej jednostki.

Rozpoczyna się wielodniowa pogoń za cofającym się batalionem. Gdzieś pomiędzy Pabianicami a Łodzią spotykają inny pluton saperów pod dowództwem chorążego Laufra,

byłego instruktora ze szkoły podchorążych. Idą już razem do Warszawy, następnie pod Garwolin, gdzie według pogłosek miał się zainstalować sztab macierzy złej dywizji. Tam dowiadują się, że 28 batalion saperów cofa się przez Lubelszczyznę na południowy wschód. Jest 10 lub 11 września. Obydwa plutony stopniały w sumie do 40 żołnierzy. Maszerują przez Chełm, Włodawę, aby wreszcie, prawie pod sam koniec kampanii wrześniowej, odnaleźć batalion pod Tyszowcami. I taki jest dla podporucznika Marka Szymańskiego koniec września, koniec kampanii przemaszerowanej bez wystrzału z zachodu na wschód przez pół Polski.

Droga do domu rodzinnego, do Końskich wiodła przez Lublin. Po raz pierwszy wówczas zetknął się z Lublinem. Mimo dwutygodniowego pobytu niewiele jednak zapamiętał z jego wyglądu. Tyle, że miasto było rozbite, okopcone. Zresztą całodzienna praca w szpitalu wojennym, zorganizowanym w jednej ze szkół, nie pozwalała na zwiedzanie Lublina. Nie interesował się, przy jakiej ulicy znajduje się jego miejsce pracy. Świat zamykał się w ramach szpitala, na którego czele stał lubelski chirurg, doktor Kożuchowski. Wokół byli Niemcy. A tutaj polecenia wydawał jeszcze polski lekarz, tutaj leżeli polscy żołnierze, tu była ostatnia zorganizowana placówka polska. Szymański pracował w szpitalu jako pielęgniarz. Jego wojenny kolega, Włodek Stysło, piastował funkcję szpitalnego portiera. Obydwu młodych ludzi wkręciła do szpitala lubelska ciotka Stysły, pani Serkies.

Powoli mijało pierwsze okupacyjne przygnębienie. W Lublinie Szymański spotkał wielu znajomych ze szkoły podchorążych. Zaczęli wspólnie przemyśliwać nad sprawą przedarcia się na Węgry. I kto wie, jak by się potoczyły dalsze losy podporucznika, gdyby nie długa rozmowa z rannym oficerem z 8 pułku piechoty z Lublina, który leżał w jednej z sal szpitalnych. Właściwie oficer ów szermował przez cały czas dyskusji jednym tylko, ale za to mocnym argumentem: „Po co opuszczać kraj, kiedy wkrótce będzie dosyć roboty na miejscu?” Prosta logika kłóciła się z młodzieńczym romantyzmem, z perspektywami przygody w dalekich krajach. Logika zwyciężyła i... to właśnie dzięki niej miał wkrótce Szymański wkroczyć w najbardziej „awanturniczy” okras swojego życia.

Po dwóch tygodniach pracy w szpitalu Stysło wyruszył do Włodzimierza Wołyńskiego szukać ojca. Szymański zaś powędrował na zachód, do rodzinnych Końskich. Kiedy się żegnali, obiecali sobie, że wkrótce znowu się spotkają i będą szukać konspiracyjnych kontaktów. Do spotkania doszło - i to przypadkowo - prawie po dwóch latach.

Podporucznik Marek Szymański opuszczał Lublin w połowie października 1939 r. z „plecakiem”, przypominającym raczej dziadowską torbę, uszytym przez ciotkę Włodka Stysły. W tej torbie niósł ocalały mundur i wydrążony bochenek razowca, w którym przemyślna pani Serkies ukryła wielką bryłę przetopionej słoniny.

Całą drogę z Lublina do Końskich przebył piechotą. Miał już w tym niemalą zaprawę. W rodzinnym domu zabawił niedługo. Wkrótce doszła go wieść, że w pobliżu Radoszyc kręci się jakiś polski oddział. Zapakował do tobołka wojskowy płaszcz i po kilku dniach zameldował się w Zychach Hubalowi. Na pytanie majora, co i dlaczego skłoniło go do zgłoszenia się w oddziale, Szymański rąbnął prosto z mostu: „A co się miałem namyślać? Rozkazu demobilizacji nie było!” Kazali mu więc wymyślić sobie pseudonim: krótki i łatwy do zapamiętania. Przyszedł no myśl ptak, sęp. I tak został „Sępem”.

Kiedy major Hubal przybył do Zych, miał pod swoją komendą dziesięciu żołnierzy. Gdy po ośmiu dniach postoju wyruszał do Cisownika, Oddział Wydzielony Wojska Polskiego liczył już szesnastu ludzi. Wśród nich cwałował na koniu zagarniętym we wrzeniu z janowskiej stadniny podporucznik saperów „Sęp”, czasowo przekwalifikowany na kawalerzystę.

Od tej pory „Sęp” pozostaje w oddziale konnym aż do chwili zakończenia bitwy pod Huciskiem. W listopadzie i grudniu koczuje wraz z towarzyszami broni w ostępach lasów spalskich, bierze udział w uroczystej wigilii na Bielawach, pełni służbę patrolową podczas postoju oddziału w Gałkach Krzczonowskich. Jest też w grupie młodych oficerów, którzy 13 marca 1940 r. podczas częściowej demobilizacji oddziału pozostają przy majorze.

Okolo południa, w sobotę 30 marca 1940 r., oddział Hubala stacza pod Huciskiem zwycięską walkę z przeważającymi siłami wroga. W tej pierwszej partyzanckiej wielkiej bitwie odznacza się m.in. „Sęp”. Tutaj też zasługuje sobie na awans - zostaje mianowany przez Hubala dowódcą piechoty. Ostatnim dowódcą. Po walce Hubal, zdając sobie sprawę z przewagi Niemców, wycofuje się na południe, przez Odrowąż do wsi Szałas. Przez całą niedzielę, 31 marca, w Szałasach panuje spokój. Niemcy nie następują. Ale w poniedziałek rano, gdy oddział rusza w dalszą drogę, okazuje się, że Niemcy otoczyli go ze wszystkich stron. Następują całodzienne próby przebicia się z okrążenia. „Sęp” wielokrotnie bierze udział w walce na czele powierzonej mu piechoty. Wreszcie, późną nocą, w gajówce ukrytej w głębi lasów suchedniowskich zapada ostateczna decyzja: Hubal przebędzie szarżą szosę Samsonów - Odrowąż, piechota zaś przejdzie grupkami przez najgęstsze lasy wśród formacji niemieckich. Zbiórka całego oddziału - w Górach Świętokrzyskich.

Oddział konny wyrusza z gajówki w kierunku zachodnim. Przez pewien czas piechota postępuje tuż za konnicą, ale wkrótce kontakt urywa się. „Sęp” pozostaje sam ze swoimi piechurami. I znowu jest ich około siedemdziesięciu. Plutony ostrożnie posuwają się przez spowity nocą las. Wysłani naprzód szperacze na razie nie przynoszą meldunków o nieprzyjacielu. W pewnym momencie z daleka dochodzą odgłosy krótkiej strzelaniny. Po chwili znowu zapada cisza. Orientują się, że majorowi udało się przekroczyć szosę.

Piechota próbuje wydostać się teraz z okrążenia w kierunku południowym. Ale wkrótce wiedzą już, że na południe nie przejdą. Świt zastaje ich przyczajonych w kępie drzew, wśród błot. W tę kępę zapadli na cały dzień. Wieczorem usiłują przebić się w jeszcze innym miejscu. Znowu dookoła słychać Niemców. Mogliby przeczekać kilka dni w głębi lasów - nieprzyjaciel porusza się tylko leśnymi duktami, w gęstwinę boi się zapuszczać - ale brak żywności każe piechurom szukać natychmiastowego wyjścia z oblawy. Wreszcie nocą znajdują jakąś wieś, jakieś przejście wolne od Niemców. „Sęp” przemyka się przodem z plutonem Kisielewskiego, pluton jest już prawie poza wsią, gdy nagle któremuś z żołnierzy wypala przypadkowo rkm. Natychmiast dookoła rozlegają się niemieckie wystrzały. Żołnierze Kisielewskiego rzucają się do przodu, drugi pluton, zdetonowany strzelaniną, zawraca, kryje się w lesie. Już go więcej nie zobaczą...

Kisielewski jest poza głównym pierścieniem okrążenia. Ale wokoło nadal pełno Niemców. Ludzie dochodzą do wniosku, że rozbić się na niewielkie grupki jest jednak pewniejsze. Trzydziestoosobowy pluton zaczyna szybko topnieć. Odłączają się po dwóch, po trzech, znikają w leśnym gąszczu. Wreszcie „Sęp” ma ze sobą już tylko czterech żołnierzy. Idą z nim plutonowy Antoni Kisielewski, strzelec Konrad Matynia, Kazimierz Turlik i szesnastoletni chłopak, który niedawno dołączył do oddziału - Antoni Krupa. Około południa dochodzą do gajówki położonej w pobliżu leśniczówki „Piekło”. Dają o sobie znać i zaraz zaszywiają się znowu w lesie. Żona gajowego przynosi im trochę pożywienia. Po południu Turlik i Krupa postanawiają iść do leśniczówki i zdobyć ubrania cywilne. Tam natykają się na patrol niemiecki, zostają schwytani. Wkrótce wiadomość o tym dociera do „Sępa” i jego towarzyszy. Mają obydwo chłopaków za straconych. I tak jest istotnie.

Zostało więc już ich tylko trzech. Uniknęli oblawy, ale - rzecz dziwna - pomimo ustalenia miejsca zbiórki w Górach Świętokrzyskich, szli na północ. W tym samym kierunku - jak się później okazało - dążył i sam Hubal na czele konnych. Wszystkich - stwierdza po latach Szymański - ciągnęło w lasy spalskie na stare kwatery. Coś nakazywało im zlekceważyć otrzymany i wydany rozkaz, utwierdzało w przekonaniu, że nie w górach, ale właśnie w dolinie Pilicy muszą się spotkać. Owe „coś” to była tęsknota za czasami, gdy wiodło im się dobrze.

Przez kilka dni przedzierają się lasami, od czasu do czasu tylko zaglądając do siedzib ludzkich. Są potwornie zmęczeni. Gdzieś na północ od Końskich „Sęp” wpada przypadkiem do rowu pełnego wody. Kiedy po wysuszeniu odzieży próbuje włożyć buty, okazuje się to nie do wykonania. Stopy opuchnięte, pełne pęcherzy, nie mogą przejść przez cholewy. Dalszy marsz jest niemożliwy. Kisielewski z Matynią idą dalej. „Sęp” zawraca do Końskich, do domu. Po krótkim odpoczynku ciągnie znowu na północ. Dojeżdża do Opczna i tam przez

kilka dni ukrywa się u znajomych nauczycielek. Ale dłuższy pobyt w rejonie pełnym wojska i policji, węższej za rozsypanymi po okolicy Hubalczykami, jest zbyt niebezpieczny. „Sęp” woli więc zniknąć na pewien czas w jakimś większym zbiorowisku ludzkim. W Warszawie ma pełno znajomych z okresu pobytu w podchorążówce. Jedzie więc do Warszawy.

W stolicy łatwo zgubić się Niemcom, nietrudno za to odnaleźć - Polakom. Wkrótce Szymański spotyka się z kapralem „Zemstą” z oddziału konnego i od niego dowiaduje się o wypadkach pod Anielinem. Jest to okres, gdy większość pozostałych przy życiu kawalerzystów ukrywa się w Rzeczycy u sołtysa Wojakowskiego, stamtąd robią częste wypadki do Warszawy, szukają kontaktów z konspiracją, rozglądają się za nowym dowódcą. Nadal aktywnie działa leśniczy Wróblewski z Dęby. I on pojawia się któregoś dnia w Warszawie. Wróblewski wspomina o rotmistrzu Tarnowskim, który mieszka w stolicy, a o którym Hubal miał się kiedyś wyrażać bardzo pozytywnie jako o pewnym i pełnym zalet dowódcy. I teraz przypominają sobie, że istotnie major oświadczył pewnego razu: „Gdybym zginął, szukajcie Tarnowskiego”. Tarnowskiego udaje się odszukać, ale rotmistrz nie ma zamiaru stawać na czele oddziału. Proponuje natomiast Hubalczykom związać się z podziemną organizacją o nazwie „Kapitanat Muszkietarów”. Ma to być organizacja wywiadowcza, posiadająca bezpośrednią łączność z Londynem. Zahartowany w działaniach partyzanckich oddział konny stanowiłby ochronę ruchomej radiostacji, ukrytej w lasach podwarszawskich. Z tą wiadomością przyjeżdża „Sęp” do Rzeczycy.

Podchorąży Lech wywiedział się tymczasem o innym rotmistrzu, byłym dowódcy majora. To młodym ludziom wydaje się wystarczające. Któż może być bardziej godny, by objąć dowództwo oddziału? Rotmistrz ukrywa się w powiecie miechowskim. Wysyłają do niego kurierkę Ludkę Żero. Z początku wszystko idzie dobrze, rotmistrz wyznacza spotkanie z Hubalczykami na Kielecczyźnie, w okolicach Kluczevska. Następują przygotowania do Wymarszu. „Sęp” zaś wyrusza do Warszawy, aby powiadomić „Kapitanat Muszkietarów”, że oddział nie przystaje na współpracę. Potem w Radoszycach dopędza pluton ppor. „Bema” i już razem przychodzą na miejsce zbiórki. Potencjalny dowódca przybywa, ale z kolejnym rozkazem ZWZ bezwarunkowego rozwiązania oddziału. Czterdziestu dwóch Hubalczyków po raz ostatni staje do apelu. Jest 25 czerwca. Trzy dni temu Francja podpisała zawieszenie broni. Francja, na której spodziewanym zwycięstwie opierali przez dziewięć miesięcy sensowność swoich poczynań...

Oddział Wydzielony Wojska Polskiego majora Hubala definitywnie przestał istnieć.. Jego ludzie przechodzą do roboty podziemnej w szeregach ZWZ. Zamelinowali się we wsiach, małych miasteczkach, w majątkach ziemskich. „Sęp” trafił do kuzynów kolegi ze szkoły podchorążych Władka Jaroszewskiego, do majątku Karolin pod Warszawą, po rocznej

przerwie, hubalowy kawalerzysta i piechur wraca do wyuczonych specjalności – saperstwa. Miejscowa komórka ZWZ poleca mu wyznaczenie przepraw przez Wisłę w rejonie Góry Kalwarii. Poza tym wraz z Jaroszewskim mają dokonywać obserwacji wojskowych jednostek niemieckich w tym rejonie.

Praca jest dość łatwa, ale dla zaprawionego w leśnych bojach i pochodach podporucznika piekielnie nudna. Dopiero przyjazd do Karolina, wiosną 1941 r., wachmistrza Rodziewicza przynosi odmianę. Radziewicz przywozi wieści, że w Warszawie organizuje się ekipa wojskowego wywiadu ZWZ. Pyta, czy Szymański nie zechciałby wejść w szeregi wywiadu. „Sęp” zgadza się natychmiast.

Poza „Sępem” i Rodziewiczem w wywiadzie są i inni Hubalczyki. Przechodzą szkolenie także wachmistrz Alicki, podchorąży Lech i podporucznik Bem. (Ten ostatni wkrótce znajduje możliwość przedarcia się do Syrii i na zawsze opuszcza kraj). Jest i Włodek Jaroszewski z Karolina. Wreszcie największa niespodzianka: do grupy wywiadowców dołącza Włodek Stysło, z którym od lubelskich czasów „Sęp” nie miał kontaktu.

W końcu lipca 1941 r. ekipa wywiadowcza wyrusza pod dowództwem szefa Oddziału Północ, kapitana Tomasza Zana, do Wilna. Następuje podział czynności: Rodziewicz idzie na placówkę do Mołodeczna, Alicki zostaje kurierem, „Sęp” i Jaroszewski są szyfrantami ośrodka w Wilnie.

Prawie przez cały rok pracują „spokojnie”. Dopiero w lipcu lub sierpniu 1942 r. następuje na Odcinku Północnym - wielka wsypa. „Sęp” wprawdzie unika aresztowania, nie musi wraz z innymi ocalałymi kolegami zniknąć z zagrożonego terenu. Jedzie okrężną drogą przez Lidę i Brześć do Warszawy, wioząc meldunki i materiały zebrane przez wywiad w ciągu ostatniej dekady.

W Wilnie następuje całkowita wymiana pracowników wywiadu. Nie dziwi się więc zbytnio Szymański, gdy wkrótce spotyka w stolicy swojego wileńskiego szefa, kapitana Zana. Ten, w połowie września, kieruje go na nową „interesującą robotę” w tworzących się właśnie oddziałach dywersyjnych Komendy Głównej AK, pod dowództwem (wówczas) majora dyplomowanego Wojciecha Kiwerskiego. Szczególnie ceni się w tych oddziałach saperów. Bez przeszkód przeto wchodzi Szymański w szeregi grupy „Sęka”. Tutaj następuje kolejne spotkanie z Włodkiem Stysłą, który działał w wywiadzie na Odcinku Południowym. W tej samej grupie jest także brat Włodka, Klaudiusz Stysło z Lublina, okres pobytu w grupie „Sęka” wiąże się z licznymi znanymi akcjami, przeprowadzonymi w 1942 r. przez oddziały dywersyjne. Bierze więc „Sęp” udział m. in. w odbiciu więźniów pod Calesynowem. w akcji „Góral” na ul. Senatorskiej w Warszawie, w wysadzeniu mostu pod Łukowem i likwidacji strażnic niemieckich nad Bugiem.

W grudniu 1942 r. mjr Kiwerski opuszcza oddziały dywersyjne, zostaje dowódcą Okręgu Wołyńskiego, a następnie dowódcą 27 Dywizji AK. Wówczas wielu z jego podkomendnych, wśród nich także „Sęp”, który tęskni do partyzantki, wyraża chęć przejścia na Wołyń.

Pewnego lutowego dnia 1944 r. wyjeżdżają z Warszawy trzy ciężarówki. Przodem sunie ogromny Lanz-Bulldog, za nim dwie lżejsze maszyny. Pod budami stłoczyło się siedemdziesięciu młodych ludzi. W szoferkach i przy tylnych burtach skrzyń ciężarówek - „konwojenci” w niemieckich mundurach. Jadą w kierunku Lublina, bocznymi szosami, przez Michów. Postanowili ominąć Lublin i kierować się w stronę Bugu przez Łęczną. Jednak po drodze dowiadują się, że w Łęcznej partyzanci wysadzili most na Wieprzu. Trzeba więc decydować się na rozgrywkę *va banque*. Ruszają od Lubartowa prosto na Lublin. Tutaj, na roгатce Lubartowskiej, kolejny dylemat: kręcić się płataniną wąskich bocznych uliczek czy...? Przed nimi wygodna droga przecinająca w poprzek miasto. Wwalają się na pełnym gazie w ulicę Lubartowską. Jezdnia jest śliska, oblodzona. Od rzeki Czechówki rozpedzono ciężarówki jadą pod górę prawie zakosami. Wtem z bocznej uliczki wypada prawie pod koła Lanz-Bulldoga łaźnik z żandarmami. Nagle szarpnięcie, zgrzyt hamulców. Z łaźnika bluzga potok przekleństw. Chwila ciszy i nagle... „konwojenci” odzyskują mowę. W Warszawie wybierano tylko takich, którzy znali język niemiecki. I w tej chwili egzamin z niemieckiego zdają na celująco. Żandarmi zostają dosłownie przygwożdżeni stekiem najohydniejszych szoferskich wyzwisk, wykrzykiwanych czystą niemczyzną... I tak konflikt zostaje zażegnany. Ciężarówki dodają gazu, wpadają na Plac Łokietka, dołączają do jakiegoś niemieckiego samochodu wjeżdżającego akurat na ulicę Królewską. Samochód skręca następnie w Fabryczną. To im tylko na rękę. Wyglądają na transport jadący na Majdanek.

Za Lublinem nie mają już żadnych przygód. Spokojnie mijają Chełm i niezaczepieni przez nikogo dojeżdżają do Pobołowic, gdzie grupa wyładowuje się. W jednej z pobliskich wsi przeprowadzają się łódką przez Bug, dochodzą do Bindugi, są już na terenie objętym działaniami dywizji.

Tutaj „Sęp” pozostaje do połowy 1944 r. Jego „Kompania Warszawska” zajmuje się głównie pracami saperskimi. W czerwcu dywizja przeprowadza się na lewy brzeg Bugu, staje przez pewien czas w Ostrowie Lubelskim, a następnie kieruje się ku lasom firlejowskim. Wtedy właśnie „Sęp” otrzymuje dawno obiecywane kilka dni urlopu. Jedzie do Warszawy.

Jest koniec lipca. W powietrzu wisi powstanie. Zanim Szymański zakończył urlop, wybiła „Godzina 0”. Z miejsca trafił do batalionu „Czata 49” w zgrupowaniu Radosława. Oprócz niego znalazło się tam około dziesięciu urlopowiczów z dywizji wołyńskiej.

Zaczynał Szymański Powstanie Warszawskie na Woli i tam po raz pierwszy został

ranny. Potem walczył na Starówce i tuż przed jej upadkiem, jako ranny, przechodzi kanałami do śródmieścia, w tym samym czasie inny Hubalczyk, podchorąży Dołęga, broni kamienicy na rogu ulic Wiejskiej i Frascatti. Ale „Sep” nie zabawia długo w Śródmieściu. Idzie na Czerniaków i tutaj aż do 22 września bierze udział w walkach. Wielokrotnie rannego zabierają łodzie żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, wracające na prawy brzeg Wisły. Razem z „Sępem” przepławia się na drugą stronę siostra porucznika Klina z oddziału Hubala. W przyszłości zostaną małżeństwem.

Na razie jednak życie „Sępa” wisi na włosku. Jest ciężko ranny w nogę, rękę i pierś. Trafia do kościuszkowskiego szpitala polowego. W październiku 1944 r. szpital zostaje ewakuowany do Lublina. Tutaj aż do lutego 1945 r. Szymański liże się z ran. Takie jest trzecie spotkanie „Sępa” z Lublinem.

W 1966 r. major Hubal został pośmiertnie odznaczony krzyżem Virtuti Militari IV klasy. I wówczas w Warszawskim Oddziale ZBoWID powstała myśl, aby wzorem Obrońców Westerplatte zorganizować także Klub Hubalczyków. Klub taki powstał 30 kwietnia 1966 r. Po dwudziestu sześciu latach od momentu rozwiązania oddziału do apelu stanęło trzydziestu żołnierzy majora Hubala. Chłopi, robotnicy, kilku urzędników, jedna profesorka muzyki, jeden dziennikarz i jeden dyrektor. Pierwszym prezesem Klubu został Marek Szymański - „Sęp”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 7, s. 1, 6-7.